



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Leopold Wojnakowski

Kadry z moich wspomnień

Drugą klasę szkoły powszechnej miałem za sobą. Zuch! Opiekunem i dobrych duchem gromady zuchów był niezapomniany pan Endel, mój nauczyciel i wychowawca. On to zebrał nas jeszcze 1 września „pamiętnego roku” i postawił nowe zadania: założyć berety i opaski biało-czerwone i pełnić służbę patrolową na ulicach Nowego Miasta. W razie wycia syren ogłaszać alarm lotniczy i wskazywać ludziom kierunek do piwnic i schronów. Dziecko – powiedział mi wtedy z uśmiechem starszy jegomość – sam się schowaj, bo szkoda by cię było.

„Służbę” pełniliśmy na zmiany – po 4 godziny i trwało to może dwa albo trzy dni. Padły bomby – też dwie albo trzy – na pole przylegające do parku zdrojowego. Wielki lej, a na dnie podchodzącym wodą dwie albo trzy zabite kuropatwy. Był to pierwszy krwawy przejaw wojny, której wyobrażenia ugruntował we mnie ojciec – piechur spod Berezyny oraz wuj – kawalerzysta spod Kijowa. Wuj bardziej, bo z konia widać lepiej.

* * *

Szosa wzdłuż naszego parkanu waliły tłumy uciekinierów: ze Śląska, z poznańskiego i skądś tam jeszcze. Wozy konne, wózki dziecięce, rowery... Dokąd?! Bóg raczy wiedzieć. Szli, jechali, jechali, szli byle na wschód, dalej od Niemców. Ciągłe kręcił się ktoś w obejściu za wodą, mlekiem i chlebem. Szły zakurzone szwadrony koni – kasztany, siwki, kare – a lance pierwszych trójek kładły blask na wrześniowe niebo i niosły nadzieję, choć popielate od pyłu słońce nie dawało radości. Wieczorami płonął świat na naszym horyzoncie. Paliły się pola ze snopami zbóż i stogi z sianem i tylko one oświetlały okolicę, czyniąc ją niesamowitą, nierzeczywistą.

* * *

Spaliśmy na rozłożonych betach na podłodze, bo tak było podobno bezpieczniej. Przed świtem obudził mnie jakiś ruch. To ojciec zbierał się do ucieczki wraz z zarządem Zdroju, gdzie pracował, jako brygadzysta.

„Nie budź ich” – szeptała mama chlipiąc cicho. Więc całował po kolei całą piątkę. Udawałem śpiącego, a szczeniące lzy zatykały mi gardło. Było mi przykro i byłem zły. Rano pocieszył mnie rower, który znalazłem na skarpie przydrożnego rowu. Ogumienie – dętki i opony – już sobie ktoś przywłaszczył, poza tym był całkiem na chodzie. To właśnie wtedy nauczyłem się jeździć na welocypedzie – pod

ramą ma się rozumieć. Trzeba było słyszeć hurgot, jaki czyniłem, jadąc na żelaznych obęczach! Nie musiałem używać dzwonka.

„Masz tu trzydzieści groszy – powiedziała rano mama – kupisz jabłek u Zylbersztajna”. To jakby w nagrodę za naszą „poniewierkę” – pomyślałem.

Na ulicach było spokojnie, jakby przed burzą. Ale jabłek nie kupiłem, bo nie wiedzieć skąd gruchnęła seria, wałnął strzał artyleryjski i rozległ się krzyk – „wkraczają Niemcy!”. Zrobił się ruch i zapanował strach. Żydzi zagarnęli mnie ze sobą do piwnicy. Brodaci znawcy zajęli miejsca przy okienku. „To nie mogą być Niemcy, to są Angliki” – filozofował któryś, kiedy pancerny wąż pojazdów przystanął na chwilę, a z luków wylazło kilku zakurzonych żołnierzy w mundurach nie naszej zieleni. „Niektórzy mają czerwone opaski, to muszą być Angliki” – oznajmił półszepem drugi. Swastyki z oddalenia nie dostrzegają.

W niepewności i strachu trwaliśmy tak może godzinę, może dwie, aż zaczęły ukazywać się na ulicy cywile z podniesionymi do góry rękami. Ktoś z sąsiadów poinformował, że można wychodzić, ale ręce należy trzymać w górze. Zdecydowałem się, choć musiałem iść ulicą, którą waliły czołgi i wozy pancerne, a na każdym z nich siedział pancerniak z bronią gotową do strzału. Ręce mi omdlewały, ale ten kilometr do domu przecież przeszedłem. Bez jabłek. Mama ucieszyła się. I już było wiadomo, że okna mają być zasłonięte, że nie wolno obserwować przejeżdżającego wojska...

Pamiętam, że kiedy szpilką przebiłem papier zasłaniający szybę, ciotka Aniela skarciła mnie ostro: „Nie wyglądam, przecież mogą cię zobaczyć i kula w łeb. Patrz na tamtego”. Po przeciwnej stronie drogi na przykopie rowu leżał trup polskiego piechura. Jak to było opowiedziała Lola, która widziała i słyszała, a ja teraz przypominę. Nie wiadomo skąd się wziął. Był brudny i zmęczony. Oparł się o pień starej wiśni, a spracowane nogi w owijaczach wyrzucił szeroko przed siebie. Obok położył karabin i rogiatywkę. Pasa z bagnetem i pudełka z maską nie zdejmował. U pasa dyndała manierka i zwisał hełm na podpince. Uśmiechnął się szczeciastą, ryżą gębą, kiedy Lola przyniosła mu mleko i pomidory. Nagle od strony Pińczowa zawarczały silniki. W prześwietlonych tumanach kurzu wlewał się żelazny potok pojazdów. Żołnierz nie ruszył się. Ogłupiały? Oniemiały? I skądś padł strzał. Jeden jedyny. Piechur osunął się na brudną trawę. Pojazdy stanęły. Wysypała się z nich grupa wrogich „Soldaten”. Rozmowy w obcym języku, śmiech i gesty wskazujące na zabitego. Wysoki ze srebrnymi naramiennikami oficer przechwalał się, że to on jednym strzałem tego polnische Schweine. Machnęła ręką i pojechali dalej. Trup żołnierza leżał na skarpie rowu przez kilka dni i nocy, bo droga ciągle huczała. Dopiero, kiedy nowi panowie zaprowadzili swój ordnung, burmistrz nakazał uprzętnąć trupy poniewierające się tu i tam.

* * *

Mój nauczyciel i wychowawca, pan Edward Endel, zapodział się. Zresztą nie było w tym czasie ni ochoty, ni warunków, by o nim myśleć. Ale do dziś nie schodzi z mojej pamięci ten wspaniały człowiek, dlatego muszę napisać o nim, choć kilka zdań.

W dniu 9 września 1939 roku we wsi Bronina, oddalonej od Buska o 2 kilometry, nocą rozegrał się krwawy bój. Oddziały 22 Dywizji Piechoty Górskiej ze składu Armii „Kraków” pod dowództwem płk dypl. Leopolda Endel – Ragisa zaatakowały z zasadzki niemiecki szybki oddział zwiadu. Dowiedziałem się o tym znacznie później i skojarzyłem nazwiska: Endel – mój nauczyciel i Endel – Ragis – pułkownik dowodzący w boju. Rozmowy moje z historykami zrodziły hipotezę, że ci dwaj ludzie mogli być spokrewnieni i kontakty między nimi mogły sugerować, że „mój” pan Endel mógł uczestniczyć w tym boju i tam polec.

* * *

Dziś odbieram te wspomnienia, jako stopniowe, acz nieświadomione nabieranie świadomości obywatelskiej, do czego przyczynił się walenie Paweł Kopała. Paweł miał, co najmniej 17 lat, był, więc starszy ode mnie o całe 7 lat. Nic dziwnego, że nazwał mnie zasańcem, kiedy próbowałem wtrącić swoje trzy grosze w dyskurs prowadzony pomiędzy nim a kilkoma oficerami niemieckimi. Jeden z nich znał parę słów, których sens można było pojąć przy sporej dozie wyobraźni. Paweł ją posiadał. Poczestowany „uprzejmie” papierosem, kurzył zawzięcie, kiedy oficer pytał: „Has du go widziol polski zolnierz abfaren? Kierunek otjechać?”. Paweł potwierdził, że widział, ale wskazał kierunek odjazdu polskich oddziałów przeciwny rzeczywistości. „Jak to?!” – zachnąłem się. „Cicho zasańcu” – odburknął Paweł, uchwycił mnie za kołnierz i bosą nogą kopnął bezboleśnie w zadek. Obraziłem się. Niemcy zarechotali, odebrawszy powierzchownie komizm sytuacji. Po piętnastu minutach, po odejściu Niemców, pojąłem głębszy sens zachowania się Pawła. „I ty chciałbyś tym skurwysynom powiedzieć prawdę?!” – zapytał z wyrzutem. Nie wiem na ile kłamstwo Pawła pomogło polskim żołnierzom. Ale zrozumiałem, że tak było trzeba.

* * *

Wracali chłopcy z wrześnie wojny. Stryj Adam W. i Jerzy W. – mój cioteczny brat. Stryj Adam poszedł ze swoim oddziałem daleko na wschód, ale uniknął jakoś zagarnięcia przez wojska sowieckie. Do domu szedł na piechotę. Głównie nocami, bał się bowiem spotkania z bandami ukraińskimi. Chroniły go lasy, nie chaty, w których też mogła czaić się zdrada. Tylko głód dodawał odwagi i radził ryzyko zbliżenia się do ludzi – do oddalonego od wsi chutoru pod lasem. Pamiętam jego gęstą brodę i smagłą od słońca i wiatru twarz. No i opowieści...

Jerzyk miał mniej szczęścia. Powrócił z lazaretu, gdzie leczył otrzymaną w boju ranę. Przyszedł w lachmanach, wychudzony i bez sporej części bicepsa na prawym ramieniu. W połowym szpitalu odcięto ochłapy zakrwawionych mięśni, resztę zaszyto pomarszczoną skórą. Pamiętam – przychodził do nas ćwiczyć tę rękę przy rżnięciu sieczki. Liczyliśmy obroty koła na dwie kosy: ja – dziesięciolatek prawą i on – ponad dwudziestolatek także prawą ręką, tą z resztkami mięśni. Stopniowo dorównywałem mi, a po jakimś czasie miał nawet większą liczbę obrotów przy liczeniu na czas do stu. Zegarka nie było.

Poszedł do konspiracji. Mijały miesiące. Znowu ranny, dostał się wraz ze swoim kolegą, Henrykiem Świechem, w ręce oprawców. Po raz ostatni widziałem go leżącego w słomie na chłopskim wozie, kiedy przewożono ich skatowanych do więzienia w Pińczowie. Jerzy miał twarz koloru popiołu i nieme, patrzące w niebo oczy. Lola, jego siostra, wyniosła mu koldrę do przykrycia, bo było to jakoś na przedwiośniu. W więzieniu żadnych widzeń. Naczelnik, Gustaw Hasis, nie wyraził także zgody na dostarczanie pożywienia, a przywiezionej przez matkę bielizny Jerzy nigdy nie otrzymał.

Po kilku tygodniach przyszło do domu czterech żandarmów z ustnym powiadomieniem, że syn zmarł w więzieniu.

* * *

Chyba była to późna jesień 1939 roku. Dziadek Ludwik zadysponował wywożenie obornika na pole. „Wojna wojną, a żyć trzeba” – mawiał. Nie potrafię uzasadnić, dlaczego, ale lubiłem robotę przy oborniku. W miarę swoich sił machałem więc ochoczo widłami, aż tu kolejne dźgnięcie natrafiło na opór. Okazało się, że na niewielkiej głębokości zagrzebany został w gnoju polski mundur kolejarski. Kolei u nas nie było, a więc to uciekinier przestraszył się swojego munduru i wołał go tu zostawić i nie paradować w nim dalej. Ale okazało się także, że kieszenie tego munduru przeładowane były twardą czekoladą, batonami i różnymi słodkościami. „Nie jedzta! – ostrzegał dziadek – Mogą być zatrute!” Pokusa była nazbyt silna. Łakomstwo zwyciężyło. Zeżarliśmy te czekolady, co do jednej. Nic nam nie było. I to była pierwsza i ostatnia taka uczta czekoladowa do końca wojny.

* * *

Szkoła. Była taka w Generalnej Guberni. Bez historii i geografii, bez biologii i nauk społecznych. Ot, trochę liczenia, pisania i czytania ze „Sterów”, wydawanych pod okiem okupanta. Do dziś pamiętam czytankę pt. „Klara Eina Gullehorga”. Ckliwa opowiadka o dzielnej, nordyckiej pasterce sprzed wieków. Ale historii i geografii uczyło nas samo życie. I był Witek, syn Witczaków – praczo-sprzątaczkę i jednookiego, najczęściej bezrobotnego człowieka. Mieszkali w wynajętej, ciasnej izdebce bez światła elektrycznego, bez podłogi. Witek był wątłym blondynkiem, wiecznie zaczytanym i przeważnie głodnym. Miał jednak wyrobione stosunki u różnych państwa, u których jego matka prała albo ojciec rąbał drwa na opał i stąd był bardziej wyrobiony towarzysko niż ja. Jego czytania nie można było nawet porównywać z moim. I tam właśnie, u Witka, w ciemnej izdebce odbywały się pierwsze nasze nieorganizowane, nieinspirowane spotkania. Ot po prostu wypływające z instynktownej potrzeby – ducha czasu – powiedziałbym. Tam właśnie nauczyłem się czytać mapę, wodząc po niej brudnym paluchem wzdłuż rzek i grzbietów górskich. Dzięki niemu przeczytałem Trylogię Sienkiewicza i „Chatę za wsią” Kraszewskiego i nauczyłem się wyznaczać linie frontów na rozległych przestrzeniach Związku Radzieckiego, z czego niezmiernie dumny był mój ojciec, gdy wobec stryjów i sąsiadów wyciągałem z kryjówki zdobywczy atlas i pokazywałem Leningrad.

Inspektorem szkoły był u nas niejaki Hans Pfitzner. To wiedziałem na pewno. A że miał on zastępcę o nazwisku Wiktor Paluch (przedwojenny kierownik polskiej szkoły w Denkowie), dowiedziałem się znacznie później.

Było to w trzeciej, a może w czwartej klasie, kiedy na lekcje prowadzoną przez panią Sieradzką przyszedł facet w brunatnym mundurze. „Ty kinder polski – udawał nieznaną polskiego i uderzał się trzcina po cholewie. – Ty umieć rachować i być potrzebny dla żołnierza niemieckiego. Ist Krieg. Ty rozumiesz? A co u fas pod pulpitem?”. „Proszę wyjąć wszystkie rzeczy na ławki” – zdecydowała pani Sieradzka. Zahurgotało i kłamoty były na wierzchu. Kreischuhat szedł wzdłuż rzędów i końcem trzciny

odpychał książki, kajety i „Stery”. Szukał zakazanej polskości, której nie znalazł. Byłem przekonany, że był to Pfitzner. Ale okazało się, że był to Paluch, polski nauczyciel sprzed wojny. Natomiast Pfitznera pokazał mi ktoś na ulicy i już wtedy stwierdziłem, że to nie był on w tej klasie.

W styczniu 1945 roku wśród jeńców niemieckich rozpoznałem Herr Pfitznera. Stał w kolejce po zupę z radzieckiej kuchni polowej. Miał na sobie spodnie do butów z cholewami, ale jego stopy obute były w zdarte trzewiki wojskowe. Mundur bez pasa zwiślał na nim flakowato, a kilkudniowy zarost przydawał twarzy smutku, rezygnacji i chyba zażenowania. Stał w kolejce z blaszanką po konserwie. Padał drobny śnieg.

* * *

Żarna. Zmyśle urządzenie młynarskie, powszechnie używane w czasie okupacyjnej nocy, mimo że jego posiadanie było surowo zakazane, ponieważ Polacy nie mogli zjadać zbyt wiele wyprodukowanego przez siebie chleba. Z grubsza ociosany, o czworokątnym kształcie pień i osadzone w nim cztery nogi – to była podstawa. Wydlubany w pniu otwór o średnicy 40–50 centymetrów służył do osadzenia w nim na stałe kamienia. Drugi okrągły kamień był ruchomy i siedział na tamtym. Wierzchni kamień, wprawiany w ruch okrężny ręką przy pomocy kołka, miażdżył ziarna. Mąka wraz z otrębami sypała się w podstawione naczynie przez boczny otwór w nieruchomym kamieniu i dziurę ukośną w pniu.

Nie chciało nam się obsługiwać „patefonu”, ale nie było rady. Pajda razowca z garnuchem mleka – to było coś! Wyciągał więc ojciec, co rusz, ze schowka trochę ziarna, mama suszyła je na brytfannie, a my z bratem Marianem byliśmy młynarzami. Pewnego dnia poszedł po domach „cynk” – Niemcy szukają żaren! Są u Majów. Ojca akurat w domu nie było, więc mama z Marianem dźwigali to życiodajne urządzenie, by ukryć je w naci ziemniaczanej za stodołą. Żarna były dość ciężkie. Mama nie wytrzymała nadmiernego wysiłku, a może potknęła się, bo upuściła je. Kant pnia odarł jej szkaradnie skórę z łydki. Krew rozmazywała przydługa spódnica. Bolało. Łzy potoczyły się po policzkach. Wreszcie dotarli za stodołę. Przykryli żarno nacią ziemniaczaną i wrócili na podwórze. Przez furtkę weszli dwaj żandarmi i jeden granatowy. „Żarna macie?” – pyta groźnie granatowy. „Nie ma, panie” – odpowiada mama. Wchodzą do stajni, do obory, zaglądają do drwalki, do stodoły... Spoglądają spode łba na mamę, która pod studnią polewa sobie zimną wodą okaleczoną nogę. „Scheise” – mówi jeden z żandarmów. Skończyło się na wielkim strachu. Poszli.

* * *

W nocy z soboty na niedzielę, z trzeciego na czwartego października 1942 roku, Niemcy wypędzili z Buska około 2000 Żydów. Słyszeliśmy jak prowadzili ich iwlekli furmankami do kolejki wąskotorowej w Pińczowie. W końcu pogonili ich pieszo do Jędrzejowa – na szerokie tory. Po drodze wielu zamęczono. Reszta zginęła z Treblince. Niektórzy twierdzili, że w obozie śmierci w Bełżcu – cóż, różnica tylko w adresie.

Rano plądrowałem po opuszczonych mieszkaniach żydowskich, po podwórzach, szewskich i krawieckich warsztatach. Wszędzie fruwało pierze, niósł się smród ludzkich odchodów i zastarzałej biedy. W kącie podwórza poruszyło się coś na sienniku. Zjeżyłem się, ale ciekawość przemogła strach. Na gołym sienniku leżała stara Żydówka. Dogorywała, dlatego nie zabrali jej i może zapomnieli zatruć. Miała rude, przepieczone siwizną włosy, długie i rzadkie, chudą i pomarszczoną twarz o przezroczystej skórze. Niebieskie oczy patrzyły obojętnie ku chmurom. Kiedy stanąłem nad nią w jej wzroku pojawiła się iskierka zainteresowania i... zaraz zgasła. Ja nie byłem swój. Konała na barłogu bez bliskich, bez posługi religijnej, bez nadziei na kamienną tablicę. Uciekłem z tego podwórza.

Gehenna. Pusty dźwięk? Czy oddaje obraz i grozę czasu faszystowskiej „inkwizycji” wobec ludzi, tylko dlatego, że śmieli urodzić się pod gwiazdą Dawida, a nie złamanego Krzyża? Mam wątpliwości.

Chociaż i w tym czarnym tunelu pojawiły się światelka. U naszych sąsiadów przez miedzę, u Sarneckich, przechowały się dwie Żydówki – matka z córką. Jak to się mogło stać, że mieszkały tam oficjalnie i prawie jawnie – nie wiem. Nie demonstrowały swojej obecności, ale wszyscy sąsiedzi wokół wiedzieli, kim są. Nikt nie doniósł.

* * *

Mała akcja. Tolek Mrugała, znany był jako „Klaine Kucio”. Tak nazwali go Niemcy, których wozili bryczką. Był furmanem w majątku administrowanym przez gestapo. Zdarzyło się, że w ręce oprawców wpadł Cepiel, znany w okolicy chłopski partyzant. Pewnego razu, kiedy żandarm wyprowadzał więźnia z celi, na podwórze gestapowskim stał Tolek z batem w ręku, oczekując na kolejny kurs z Herr komendantem. Cepiel spojrział na Tolka z dziwnym błyskiem w oczach. Takie spojrzenia się rozumiało. Miał on konia, który na moje poklepanie klękał i tak Niemca zająłem, iż na chwilę zapomniał o więźniu,

tym bardziej, że koń był posłuszny, a Cepiel załatwiał osobiste potrzeby w drewnianym wychodku i błyskawicznie wykorzystał okazję. „Oczkiem” dał nura w gnojownik, potem przez mur na targowisko i przepadł.

„Aber schneller!” – krzyknął w końcu żandarm i huknął pięścią w drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Usilne poszukiwania przy „aktywnym” współudziale „Klaine Kucio” nie dały rezultatu. Wiadomość o tym zdarzeniu poszła między ludzi i krzepiła serca.

* * *

W poprzek stołu leżały dwie połowy rozciętego wieprzaka. W miednicy kiszki, w garnku serce, wątroba, nerki... Odrąbany łeb miał zamknięte oczy ze szczeciniastymi rzęsami i brudne uszy. Ojciec przeniósł skrycie te dobra z obory do izby. I wtedy właśnie ciotka Aniela zobaczyła na ulicy żandarma. Przechadzał się po zamarznętej grudzie pobocza drogi wzdłuż naszego parkanu – tam i z powrotem, tam i z powrotem... Jakby czekał na kogoś, bo sam nie chciał wchodzić. Ktoś doniósł? Ciotka Aniela wymknęła się do siebie. Pozostali sami swoi i ta zabita i rozpołowiona świnia. A tamten za oknem przechadzał się nadal. Ojciec, milczący i blady, usiadł, czekał... Mama pochlipywała. My, we czwórkę, snuliśmy się jak „złe duchy”. Do żandarma przyszedł granatowy i we dwóch... pomaszzerowali w stronę Wąlcza. Gdyby weszli do nas, to może nie pisałbym dziś tych zdań.

* * *

Zawsze były u nas dwie krowy, ale obowiązkowe dostawy, okresy cielności itp. powodowały, że mleka brakowało i stąd powstawała potrzeba zakupu mleka „odciąganego”, ponieważ śmietana szła na produkcję masła dla frontu wschodniego. Do mleczarni wychodziło się rano, tuż po godzinie policyjnej, aby jak najwcześniej stanąć w szybko rosnącej kolejce po to odchudzone mleko. Dystrybucją tej cieczy zajmowała się panna Marysia G., śliczna dziewczyna spod Jędrzejowa. „Ustawić się do ciężkiej cholery!” – zwykła mówić na przywitaniu. „No i czego się gapisz stara krowo! Stój pokornie i czekaj, bo w mordę zamaluję!” – krzyczała.

Ludziska przepychali się, bo albo zimno, albo deszcz, śnieg, no i obawa czy nie zabraknie tego mleka – a często brakowało. Nikt nigdy nie odpysknął malowanej lali. Na mnie patrzyła z pogardą i wyższością, a może patrząc w ogóle mnie nie widziała, tak mi się zdawało. Cóż dla niej znaczyłem w zdartych drewniakach, obszarpanych porciętach i w czapie ze złamanym daszkiem. „Tylko polskie świnie nie potrafią uszanować nowego porządku” – pouczała milczącą kolejkę.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że Marysia została zastrzelona. Zatrzymana przez „Jędrusiów” na ulicy w Busku wysłuchała potulnie wyroku i otrzymała kulę w karminowe usteczka. Grób znajduje się na miejscowym cmentarzu.

* * *

Leżała lśniąca, czarna. Jej oksydowana powierzchnia miała na sobie kilka kropel brudnej wody z kałuży obok. Kaliber 7,62 – ósemka. Zobaczyłem ją, kiedy wracałem z obiadu do warsztatu stolarskiego, w którym odbywałem praktykę. Leżała naprzeciwko drzwi, którymi miałem wejść – wprost na dziurawym chodniku. Tylko się schylić i... Jakiś instynkt podpowiadał – nie oglądaj się, nie schylaj. Udawaj frajera, którego takie rzeczy nie interesują. W oknie naprzeciwko poruszała się jakaś głowa, w perspektywie ulicy stał żandarm. Chyba nie patrzy w tę stronę. Przekroczyłem ósemkę, jakby jej w ogóle nie było. Doszedłem do rogu. Żandarm zapodział się gdzieś. Skręciłem w lewo. Korciła mnie ta czarna, lśniąca, oksydowana... Wróciłem w tamtą ulicę. Było pustawo i cicho. Miałem do niej z pięćdziesiąt metrów. Nagle strzał! Ocenilem, że w rynku. Z bramy wyskoczył cywil i schylił się po „mój” pistolet. Przy zielonym kapelusiku miał zatknięte piórko. Takich kapeluszy u nas się nie nosiło. Padł drugi strzał. Ulica zarojła się od uciekających. Buchnąłem i ja w „swoje” drzwi. Znowu kilka strzałów – jeden po drugim. Dwa znowu. I jeszcze jeden. I cisza.

* * *

Edek Radej ładnie śpiewał i grał na harmonii, ale na koniach jeździliśmy jednakowo dobrze, tyle że on także w siodle, bo jego ojciec handlował końmi i siodło wisiało w stajni. Wiosną 1944 roku, po deszczowej nocy, wrócił skądś na ogromnie zabłoconym wałachu. Zdziwienie moje było tym większe, że w dzień roboczy na przejażdżki się nie wyjeżdżało. Kiedy więc wprowadził konia do stajni, odpiął popręgi i zdjął siodło, zapytałem:

– Gdzieś ty był?

– Rozpapasz i tyle – był ważny, bo rok starszy ode mnie.

- Jak Boga kocham, nie powiem nikomu!
- W Niegrowicach.
- Ze czterdzieści kilometrów tam i nazad po takim błocie! Po co tam byłeś?
- Z meldunkiem.
- Z jakim meldunkiem?
- Czyś ty głupi, czy tylko udajesz?

Pewnie, że udawałem. Później dowiedziałem się, że był to kontakt konspiracyjny AK, której oddziały operowały w lasach chroborskich, a Edek pełnił funkcję „nieetatowego” kuriera.

* * *

W sobotnie popołudnie w dniu 5 sierpnia 1944 roku, ni stąd ni zowąd, żandarmi i wojskowi wypędzili z domów wszystkich mężczyzn, sformowali luźne grupy i określając kierunek wynieść się z miasta. Poszedłem i ja, dumny za potraktowanie mnie jak dorosłego chłopca.

W oddalonych o dwa kilometry Siesławicach Niemców ani śladu. Kwaterował tu oddział partyzancki AK. Przy cekaemie na skraju wsi leżał znajomy Stachurek. Po drodze i w opłotkach kręcili się półwojskowi – półcywile, opaski biało-czerwone, steny, kabeki, granaty przy psach...

Ulokowani na słomie w zapolu stodoły – próbujemy spać. Słysząc jakieś przyciszone głosy na zewnątrz, gdzieś dalej ktoś gra na organkach marszową piosenkę. Jest coraz ciszej. Ale o świcie zaczyna się ruch. Trzeba wstawać. Przy korycie obok studni chłapie się dwóch w oficerkach. Gospodyni doi krowy, a nasz ojciec kręci się blisko obory. Wiem – chce skombinować trochę mleka. Chleb mamy z domu. Siadam okrakiem na zapornicy i zajadam razowiec. Nagle, nie wiedzieć skąd, gruchnęła poprzez zagrody tak radosna, co zaskakująca wieść: w Busku jest już Polska! Nie wierzę – mówi ktoś. Partyzant Tadek jedzie rowerem na zwiad i potwierdza wiadomość. Radość przeogromna. Odbywa się wesoly powrót do domu. Ojciec goni mnie do wypędzania krów na pastwisko, ale jak można w takiej chwili?!

W mieście bezkrólewie. Nie ma komu rządzić. Niemcy wynieśli się w nocy bez strzału. Jak słysząc – Ruscy klinem przerwali front, ale jeszcze ich nie widać. Słoneczne i ciepłe przedpołudnie sprzyja moim bosonogim penetracjom po niczyich ulicach. Rodzi się samorzutna inicjatywa zrywania niemieckich symboli, znaków, napisów. Sarnecki stoi na drabinie i zamalowuje białą farbą niemieckie hasła na ścianie. Magazyny i składy niemieckie już rozbite. Dźwigają ludzie cukier i naftę w wiaderkach, mąkę. Kręcą się nieskoordynowane grupki partyzantów, próbując zaprowadzić jakiś ład. Patrzę jak Ludwik Ząbek trzyma w garści nagą szóstkę i laje kobiety. Gdzie tam! Cukier jest najważniejszy. Chłonę gałami i całym sobą pierwsze przejawy wolności. Tu i ówdzie powiewają flagi biało-czerwone, a w parku na rynku – oczom nie wierzę! – stoi grupa polskich oficerów. Starszy, „dobrze poinformowany” jegomość, mówi do kolegi półgłosem: „ci to z Narodowych Sił Zbrojnych, spod ryngrafu Matki Boskiej”. Coś niecoś o nich słyszałem. Ale żeby takie wojsko! Wyglądają tak pięknie, bojowo, tak po polsku! W nowiu-kich zielonych mundurach! „Chłopcy malowani, sami wybierani..”. Żółciuchne pasy i koalicyjki, gwiazdki, rogate garnizonówki...

Co rusz podchodzi grupka cywilbandy, pogapić się na polskich oficerów. Mój zachwyt przygasł nieco, kiedy jeden z nich opowiadał, że jemu nie przeszkadza ciepły jeszcze trup, może na nim usiąść i jeść kielbasę.

* * *

Jakoś przed południem przeszła po ludziach wiadomość, że od strony Stopnicy przyjdą Ruscy. Na rynku opuszczonego przez Niemców miasta i u wlotu w ul. Stopnicką zebrały się tłumy z naręczami kwiatów. W oczach podniecone oczekiwanie. Idą! Idą! – leci wśród tłumu. Kompania dziarskich żołnierzy w spłowiałej zieleni mundurów. No i te erkaemy, pepesze! A gdzieś tam od tyłu dochodzi warkot czołgów. Już je widać! Prowadzący kompanię oficer wznosi po polsku gromki okrzyk: „Niech żyje Polska!”. Szał radości. Po pięciu latach zamkniętych brutalnie ust nagle taki okrzyk – tak śmiało, tak głośno, na ulicy! Kwiaty przykryły żołnierzy i czołgi. Brudnymi pięściami rozmazują na policzkach lzy. Chłopaki na czołgach. Rany Boskie! Drapię się i ja. Nikt nie broni.

Kompania z szyku zwartego wtopiła się już luzem między witających. Śmiechy, płacze, pytania, odpowiedzi, fotografie, niedowierzanie, dotyk munduru, uściśnięcie prawicy, przytulenie dziewczyny, pocałunek i podziękowania...

Czołgi stanęły pod drzewami parku w rynku. Znalazł się – nie wiedzieć skąd – biały chleb i kielbasa. Żołnierze jedli z apetytem, chwając i dziękując. Partyzanci z literami AK, BCh, AL na biało-czerwonych opaskach zajmowali obiekty publiczne: magistrat, Spółdzielnię Rolniczo-Handlową, a także budynki użytkowane do niedawna – do minionej nocy – przez gestapo i żandarmerię. Ktoś mówi, że komendantem wojennym miasta zostanie oficer radziecki, ale w skład komendantury wejdą przedstawiciele AK, BCh i AL. Wolność wyzwala dyskusje – gadają więc ludzie na ulicy.

* * *

Pędząc znowu do miasta, spostrzegłem za murami starego cmentarza kilku żołnierzy radzieckich i czołg stojący wśród kasztanów. Obok nich grupka smyków, takich jak ja. „Skazicie wy mnie, riebiate, kuda zdieś giermańcy?” – zapytał erkaemista. „O tam! – powiedziałem wskazując paluchem Górę Kwiatkową – na tej górze”. Odległość do góry około półtora kilometra i nie byłem pewien, czy mówię prawdę. Chodziło o strzelanie, nie? Ktoś klepał, że tam siedzą. Alosza spowaźniał. Podniósł z trawy wspartego na nóżkach diegtariewa, ustawił go na murze cmentarnym i stojąc wystrzelił kilka długich serii w szczyt góry. Widać było, jak się zakurzyło. Za chwilę okazało się, że moja informacja (może nie tylko moja) miała dalsze reperkusje. Oto stojący pod drzewami czołg wytoczył się i wyburzając wylot w murze wyjechał do wylotu ulicy Pińczowskiej i oddał w Górę Kwiatkową kilka strzałów. Przy tej „okazji” wypadły z brzękiem szyby z okien najbliższych stojących domów.

„Skądżeś ty wiedział?” – zazdrościli chłopcy. „Mówił mi taki jeden” – odpowiedziałem tajemniczo, żeby stać się jeszcze ważniejszym. Potem wyjechały w kierunku zachodnim dwa motocykle z przyczepami. Zwiad motocyklowy liczył sześciu uzbrojonych w pistolety maszynowe i granaty żołnierzy.

* * *

Siedemnastoletni J.L. nosił niedbale na ramieniu znaleziony Panzerfaust i wyjaśniał gapiom działanie tego urządzenia. „Trzymasz rurę pod pachą, ustawiasz celownik, celujesz i czekasz, aż będzie bliżej. Pociągasz za cyngiel. Z tyłu bucha płomień, a do przodu leci głowica – i tu jest jeden huk. A kiedy głowica uderza w cel – to jest drugi huk. Rozpieprzam, bracie czołg i cześć!”

Poszedł dalej. Aż tu huk raz! A potem zaraz – trach! – drugi raz. Instynktownie przypadłem do ziemi – jak żaba na kocich łbach. Zerknąłem w stronę wybuchów. Widać dym, słychać jęki. Ktoś krzyknął: „Niemcy od Chmielnika!” Chyłkiem dopadłem pierwszego budynku i wyjrzałem zza winkła. Rozbudzeni (spali pod czołgami) żołnierze radzieccy zorientowali się w mig, o co chodzi i rozpoczęli kanonadę z pepesz długimi seriami w powietrze. Jak się okazało – na postrach, dla rozpedzenia tłumu gapiów i jakiegoś uporządkowania sytuacji. Ludzi ogarnął owczy pęd. Z chaosu zasłyszanych w biegu informacji wyławiałem – „To ten J. z tej rury” Istotnie J. był instruktorem z powołania. Następnym po mnie słuchaczom teorię poparł, mimo woli, lekcją pogładową. Nieopatrznie przycisnął guzik i nastąpiły – dokładnie tak, jak to opisał – dwa wybuchy – jeden po drugim. Po pierwszym strumień płomienia z rury spalił mu nogawki, ponieważ nie włożył urządzenia pod pachę, jak sam pouczał. Poza spalonymi portkami, lekkim poparzeniem i dużym strachem winowajca większego szwanku nie poniósł. Natomiast wybuch drugi, a więc eksplozja samej głowicy spowodowała śmierć kilku ludzi z tłumu. Kilka osób zostało lżej lub ciężiej rannych.

* * *

Późnym popołudniem wkraczały do naszego miasteczka oddziały partyzanckie w szykach zwartych. „Grupa Jana Korepty „Nika”, bo od Stopnicy” – informował jakiś znawca. Ta od „Jastrzębca”, bo pod komendą „Wilgi”...

Znowu kwiaty, uśmiechy i łzy radości. Kto by się spodziewał?! Oto idzie kompania piechoty. Różnorodność strojów i uzbrojenia. W ostatniej czwórce partyzant klepie na bosaka. Ciasne zapewne trzewiki związał ze sobą sznurowadłami i powiesił na ramieniu. Z drugiego ramienia zwisa mu na pasie pistolet maszynowy. Jadą tabory – ot, kilkanaście chłopskich wozów na żelaznych obręczach. Jedzie szwadron kawalerii. Tu konie są wierzchowe – z dworów albo poniemieckie. „Tymi dwoma karymi jeździł Wagner” – to znowu znawca. Chłopcy na koniach dorodni. Bryczesy, oficerki – to robi wrażenie. Na czele kompani piechoty gość, którego znam, ale nazwiska nie pamiętam. Oczom nie wierzę! Wraz z żoną i maleńką córeczką mieszkał po sąsiedzku u moich kuzynów, jako wysiedleńiec z poznańskiego. Zajmowali pokoik. Pracował jako agronom w powiecie i często wyjeżdżał na motorze służbowym w teren. Owo poznańskie pochodzenie, znajomość niemieckiego, ten urząd służący, bądź co bądź, okupantowi i ten służbowy motocykl, który mu czyściłem – wszystko to razem wzięte budziło we mnie niejasne podejrzenia, które przerodziły się niemal w pewność, kiedy motor nie powrócił do komórki i żona z małą znikły. Pomyślałem – Oho! Zwiął cwaniaczek! Przestraszył się naszych, bo chyba go wymacali. A tu masz babo placek! Idzie bojowiec w skórzanej kurtce i prowadzi chłopców AK. Sten przed piersi, brązowy pas z koalicijką, oficerki...

* * *

Wzmocnione oddziały i patrole sowieckie zajęły newralgiczne punkty na przedpolach naszego miasta. Pasąc na ścierniskach krowy widziałem wiele okopanych grup żołnierzy. Okopali się między

mendlami nie zwiezionych snopów. Słyszałem, że powstała sojusznicza komendantura miasta. Życie jakby normalizowało się, chociaż zbrojnych spotykało się na każdym kroku. Nie dziwota – wszak była to pierwsza linia frontu, a na pewno wysunięta daleko na zachód jego forpoczta – cypel bez sąsiadów z lewa i prawa, za to z zagrożeniem od czoła i z boków. Dziwna ta wojna! Idzie ulicą uzbrojony oddział-ek akowski. Chyba demonstracja siły. Znam ich wszystkich: Janek, Jędretek, Zdzisiek, Kacper, Marian...

Pasę krowy przy tych okopanych żołdatkach, a kiedy – napasione – pędzę do obory, leży przy wykopanym dołku obok drogi partyzant z AL. Ma to wypisane na opasce założonej na rękawie czarnej, esesmańskiej bluzy. Czapkę ma także czarną. Szykowną polówkę, typu alpejskiego. Uśmiecha się nie ogoloną gębą. Jest młody i fajny.

– Masz kolego zapalniczki – pyta spokojnie.

– Co wart pastuch bez zapalek – odpowiadam z fasonem i wyciągam pudełko z kieszeni.

– Daj draskę i parę sztuk.

– Bierz pan całe pudełko! – wręczam je wspaniałomyślnie. – Przyniosę tytoniu, bośmy wszystko z Heńkiem wykurzyli – dodaję poważnie.

– Dziękuję, jesteś fest chłop.

Podpyliłem ojcu znowu garść swojskiej machorki i przyniosłem na stanowisko bojowe. Nie znalazłem bibułki. Ale aelowiec nie zmartwił się, pokazując wystającą z kieszeni gazetę.

– Grabuła, cześć!

Już wówczas wiedziałem, że gdzieś tam w dowództwach toczą się tarcia o władzę. Że w dniu 6 sierpnia 1944 roku komendantem miasta został por. Władysław Kozłowski pseud. „Jastrzębiec” z AK, ale po trzech dniach przetargów – chyba nie najgrzeczniejszych – funkcję tę przejął Kazimierz Orczykowski – jeden z dowódców i najbliższych współpracowników Józefa Madanki, radykalnego przywódcy chłopskiego i dowódcy silnego oddziału partyzanckiego.

* * *

Więść o śmierci Władka Piotrowskiego „Natury” z AK w dniu 6 sierpnia 1944 roku oszołomiła mnie. Ogromne wyrzeczenia rodziny pozwoliły mi liczyć trochę wiedzy w miejscowym gimnazjum. A chyba wraz z wrześnieją klęską zaczęła się jego konspiracja. Wiedziałem, że brał udział w wielu akcjach bojowych, jako kapral był dowódcą drużyny; grał na trąbce, malował, trochę rzeźbił.

Nagle, jak grom z jasnego nieba: „Władek nie żyje!” Dopiero co brał udział, bezpośredni i jakże czynny, we wszystkich wydarzeniach tej pierwszej wolności – a już go nie ma. Dopiero co samochodem marki Wanderer jeździł komisarz Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, Artur Lechning. Dopiero co samochód ten „zarekwirował” Julian Kubicki „Korba”, by po południu przyjechać do Buska z porucznikiem „Wilgą” i kapralem „Orlikiem”. Zaraz potem pojechali we dwóch – „Orlik” z „Naturą” – tym samochodem z meldunkiem do placówki w Żernikach. Nie dojechali. Pod kołami ich samochodu eksplodowała mina. Swoja czy niemiecka – nie wiadomo. Władek padł na miejscu. „Orlik”, ciężko ranny, odwieziony do szpitala, wylizal się.

Tymczasem poszedłem do łaźni miejskiej, gdzie leżał Władek. Młode, zdrowe, nagie ciało wyciągnięte na drewnianej ławie, miało urwane przedramię. Z poszarpanych krwawych ochłapów bicepsa wystawał dłuższy kikut kości. A to odrąbane przedramię obmywał w wiadrze z wodą ojciec Władka i płakał. Twarz miał Władek spokojną, oczy zamknięte – jakby spał. Tylko niewielkie nacięcia na policzku i na skroni wyglądały jakby zadane nożem.

Trumnę miał Władek siermiężną, wykonaną naprędce. Grób wykopali koledzy tuż obok mogił polskich żołnierzy, poległych pod Broniną w 1939 roku. Zebrała się rodzina. Pogrzeb miał honorowy – z przemówieniem porucznika „Kraża”, z salwami oddziału AK pod dowództwem Edwarda Maciejewskiego, podchorążego „Wiesława”.

Po niebie krążyły samoloty niemieckie. W Busku kipiała wolność.

* * *

Minął tydzień tej wolności. Słonecznym porankiem pobiegłem do radzieckiego czołgu, który stał skierowany lufą na zachód przy chałupie Molendy. Żołnierze otwierali już puszkę z tuszonką i kroili czarny chleb. Lejtnant w podkoszulku golił się. Lusterko wsparł skosem o metalowy występ czołgu. Na poziomej płaszczyźnie tanku stała miseczką z wodą i kawałek mydła do golenia. Skrobiąc brzytwą twardy zarost oficer gawędził ze mną. A to jak mi na imię, ile nas w rodzinie, czym zajmuje się ojciec. On także – opowiadał – ma dwie córeczki i chciałby pojechać do domu, ale nie może. Pojedzie, kiedy zdobędzie Berlin.

Po słonecznym dniu przyszła skwarna noc. Spalimy w stajni, bo była murowana, a dom drewniak nie dawał – zdaniem ojca – należytej ochrony. Nagle walnął ktoś pięścią w drzwi. To patrol partyzancki AK zawiadamiał mieszkańców, że oddziały radzieckie wycofują się z „naszego przyczółka” na linię

frontu pod Stopnicą i kto chce może także pójść na „tamtą stronę”. Ojciec drapał się po rozczochranej głowie i patrzył niezdeterminowanie na tych dwóch młodych z pistoletami, którzy nie mieli czasu.

My zostajemy. Niech się dzieje wola Boska – zdecydował wreszcie. Słyszając taką decyzję, czułem w sobie niezmierny żal i pretensję do ojca za to, że nie idziemy za front. To byłaby frajda!

Na skutek naporu pancernych sił niemieckich rozrzucone po polach grupy radzieckie wycofały się nocą w popłochu. W Warszawie wrzało powstanie. Gotowała się ziemia i tam i tu.

Kiedy po kilku miesiącach, w styczniu następnego roku, przysłała kolejna wolność – wrócili też „wygnańcy”, opowiadaniom nie było końca. Kilku zmarło na dyzenterię. Mieszkańcy pasa przyfrontowego gnieździł się w bunkrach i ziemiankach, a spanie w stodole było komfortem i zarazem wielkim niebezpieczeństwem ze względu na ogień. Niektórzy młodzi szli do polskiego wojska lub do milicji, gdzie życie miało formy w miarę zorganizowane. Cywilbanda żyła, jak kto potrafił na tej spalonej ziemi.

* * *

Jeszcze jeden epizod, spinający klamrą śmierci ten nasz tydzień wolności. Radziecka artyleria przeciwlotnicza nie pozwalała już Niemcom na poruszanie się w powietrzu. Pamiętam jak jeden z myśliwców zapalił się od pocisku i ciągnąc za sobą smugę dymu trzasnął o ziemię w niedalekiej Wygodzie Kozińskiej. I właśnie wtedy przysłała do Buska owa tygodniowa „pierwsza” wolność.

Któregoś dnia pobiegłem z chłopakami obejrzeć wrak samolotu. Leżał osmalony i pogruchotany. Niemy świadek tragedii. Ale znaleźli się i żywi świadkowie. Opowiedzieli. Zabitego pilota Niemcy wywlekli z płonącej kabiny i pochowali pod oknem zarządu gminnego, żeby można było odnaleźć grób. Nikt nie przypuszczał, że wolność potrwa zaledwie kilka dni i dlatego pani sekretarzowa Liguzińska postanowiła trupa spod swego okna usunąć. „Panie sąsiedzie kochany, przekop pan tego Szwaba gdzie indziej” – zwróciła się do Romana Jasińskiego, który kierował miejscową rakarnią. Jasiński wykopał Niemca spod okna i przeniósł go do dołu po wapnie. Resztę dopowiedziało życie i znowu śmierć po tygodniu. Kiedy wrócili Niemcy, postanowili swojego nieboszczyka zabrać, lecz w grobie go nie było. Wszczęte śledztwo szybko ustaliło przyczynę, bo nie robiono z tego tajemnicy. Czyn był poniżający dla rasy panów i uznany został za profanację. „Nikczemnik” Jasiński musiał więc kopać jeszcze raz dół, tym razem dla siebie, bowiem po wydostaniu trupa lotnika dostał kulkę w tył głowy i zajął jego miejsce. Dowódca ekipy „ekshumacyjnej” zażądał również kary śmierci dla żony Jasińskiego, ale płacz i błaganie dzieci uratowały ją. Niemcy spalili budynek gminy i wysadzili w powietrze rakarnię. Ciało zabitego kamrata zabrali. Musiał być ważny.

* * *

Siedzimy z Heńkiem na miedzy i kurzymy gazetowe skręty. Rozważamy sytuację. Krowy wyskubują chwasty ze ścierniska. Jest spokojnie. Wreszcie są! Na pińczowskiej szosie pojawia się na samochodzie grupa Niemców. Coś tam koło przydrożnych wiśni majstrują, coś jakby kopią, wyjmują... I nagle następuje silna eksplozja, ogień i dym. Przestraszeni domyślamy się – to miny. Wykryli, dranie, zamiast na nie nadepnąć.

Do naszego miasteczka weszli łagodnie. Bez strzału. Represji nie było, chociaż ten i ów „przebierał uszami” za te fotografie z uśmiechem i kwiatami na radzieckich czołgach. Już nie ten impet, nie ta mina, nie ten wrzask, nie ta brutalność. Zwierz był jeszcze silny, ale oczy miał rozbiegane.

Zebrawi na rynku ludzi. Podzielili na komanda i wydali nakaz: od jutra będziemy kopać okopy i budować bunkry niezbędne do obrony przed bolszewizmem. Łopatę trzeba mieć swoją. Kilof – gdy będą kamienie – organizować wspólnie. Siekiery i piły do wycinki drzew na bunkry – także.

Tak rozpoczęła się moja robota na rzecz III Rzeszy. Trwała 5 miesięcy, aż do styczniowego wyzwolenia. Codziennie wcześniej rano zbiórka, sprawdzanie obecności przez brygadiera, w prawo zwrot, naprzód marsz. Norma była „sprawiedliwa” – każdemu po równo, niezależnie od wieku i fizycznych możliwości. Wermachtowiec jak cień doglądał roboty, snuł się po wykopach, gonił od ogniska, rozliczał wykonaną szychę.

Za dzień pracy przemywałem 10 papierosów „Mewa” lub „Handegen” oraz miskę zupy z kuchni polowej. Wsunęty przez mamę za pazuchę kawał razowca, flacha mleka lub kawy z sacharyną ratowały sytuację. O trzy – cztery kilometry dalej na wschodzie pulsował front. Widać było dymy pożarów i walki powietrzne samolotów. Jesienne dni stawały się coraz smutniejsze, podobne do siebie i pełne niejasnego oczekiwania.

Któregoś ciepłego jeszcze popołudnia przyjechała w nasz rejon kuchnia polowa. Podstawialiśmy blaszane miski, a wojskowy kucharz nalewał małe porcje dużą chochlą. Usiadłem po japońsku na trawie i trzymając miskę między kolanami chlpałem ciepłej cieczy. Ciepława lura nie smakowała mi i nie wiem dlaczego zbierało mi się na płacz. Wiedziony niejasnym buntem wylałem zawartość miski

w trawę. Zrobiłem to tak, żeby wszyscy widzieli. Grupa siedzących zastygła w milczącym oczekiwaniu. Podszedł brygadier:

– Dlaczego to zrobiłeś gówniarzu?

– Ciepła woda mi nie smakuje.

Wówczas otrzymałem cios w zęby. Zatoczyłem się, bo brygadier miał w garści krzepę. Wehrmachtowiec pytał o co chodzi. Mój pogromca tłumaczył po niemiecku, a ja rozcierając bolącą szczękę powiedziałem ze łzami w gardle jedno słowo: „Zobaczmy!” „Ty pomocię – wściekł się brygadier – ty myślisz, że mnie bolszewikami zastraszysz?!”. „Kończyć jedzenie!” – poderwał wszystkich do roboty.

Niemcy nie interweniowali. Uznali widać, że są to nasze sprawy. Albo z ostrożności woleli nie wtrącać się. Albo może on im to odpowiednio wyjaśnił.

* * *

Kopie my, kopie my, kopie my... Jesienny deszcz zacina z ukosa, zalewa rowy. Osuwają się na dno namoknięte skarpy. Umacniamy ściany oplecionymi wiązkami gałęzi. W drewniakach chlupie woda. Rozgrzewki – poza robotą – nie ma żadnej. Nieuchronnie zbliża się zima. Chwytają pierwsze przymrozki. Kopie my obok Łągiewnik. Zagrzebany na dnie głębokiego rowu ciskam na zewnątrz pecyny ziemi. Wehrmachtowiec z karabinem rysuje się wyraźnie na tle nieba. Chłopaki chcą pomóc najmłodszemu z brygady. „Weg!” – przygania ich. „Schnell! Schnell!” – pokrzykuje na mnie. W zapamiętaniu przesyłam mu wiązanek słów uznawanych powszechnie za nieprzyzwoite. Musiałem jednak skończyć swoją szychtë. Polykając bezsilnie łzy skrobałem błoto z łopaty, podczas gdy brygada pośpiesznie formowała szyk. Był wprawdzie wczesny, ale ciemny już wieczór. Drogę oświetlał księżyc, wspomagany wybuchami i łunami pożarów z linii frontu.

* * *

Obok nas pracowała łopatami – tak jak my – grupa Niemców – dezertów. Już nie szli pod ścianę, w każdym razie nie od razu, bo każda para rąk była potrzebna. Pozostaje kwestią dyskusyjną komu było lepiej – im czy nam. Bezpośredni z nimi kontakt był zabroniony, ale obserwując ich, widziałem rezygnację w spojrzeniach. Przygnębieni, o szczeciniastych gębach, maszerowali każdego ranka – jak my – z łopatami na ramionach. Ba, śpiewali nawet na rozkaz wachmana marszowe piosenki żołnierskie. W półcywilnych łachmanach, zwisających z wychudłych ramion, w kamaszach z resztkami gwoździ pod podszewkami i bez sznurowadeł wyglądali jak pokutnicy okupujący ciężki grzech. Ale tliła się w nich jeszcze iskra nadziei, która zapewne szybko zgasła. Dlatego nam było chyba lepiej.

* * *

„Jutro przychodzić na zbiórke bez szpadli! – oznajmił brygadier. – Będzie inna robota”. Kiedy rano staliśmy już w szyku, Niemiec wchodził między szeregi i beczelnie patrząc w oczy dotykał ręką pejcza i warczał. „Du! Du! Du!..”. Wybrał kilkunastu młodych, wśród których znalazłem się i ja. Podjechała ciężarówka. „Aba schnell! Wlacz!” Podróż do Pińczowa była niezłą frajdą. Tutaj przesadzono nas do wagonów towarowych kolejki wąskotorowej i zawieziono do Jędrzejowa. Okazało się, że byliśmy niezbędni do załadunku na wagony kłębów drutu kolczastego, potrzebnego na zasieki przyfrontowe. Pilnujący nas wachmani nie pozwolili rozejrzeć się za jakimś jadem. Dwa wagony załadowane. My na siedzeniach – prowizorkach, wśród tych drucianych kolców. I znowu – nach Pińczów. Tu czekało już kilka wojskowych ciężarówek, na które dokonaliśmy przeładunku. I znowu jazda z kolczastym ładunkiem pod linię frontu w okolicy Stopnicy. Przed kolejnym przeładunkiem ręce odmawiały mi posłuszeństwa, kiedy na grubym drągu trzeba było dźwigać kłęby drutu. Z głodu ciemniało mi w oczach. „Aba schnell!” – poganiał wachman. Na kolację dostałem placek z razowej mąki z domieszką ziemniaków i garnuch mleka. Nie miałem czasu gryźć tego jada, polykałem kęs w całości.

* * *

Po naszym podwórku kręcili się dwaj taborycy i ich szef kompanii. Trzymali w naszym chlewie własną świnię, którą przewozili na wozie w coraz to nowe miejsce postoju – „na z góry zaplanowane pozycje”, ale ciągle na zachód.

Szef kompanii natomiast urządził sobie w naszej sieczkarni magazyn butów, skarpet i innej odzieży żołnierskiej. Paradoks w tym przypadku wynikał stąd, iż stopy trzewików leżały na deskach, pod którymi znajdował się nasz schowek na ziarno i mąkę. Sytuacja okazała się niezmiernie dogodna, bowiem żadnemu z hitlerowców nie mieściła się we łbie taka „bezczelność”, natomiast my – w razie

potrzeby – odgarnialiśmy pod nieobecność Niemców trepy żołnierskie i wyjmowaliśmy ze schowka, co było potrzeba.

W dniu tym wyrzucałem obornik spod krów, bo udało mi się dać dyla z roboty przy okopach. Taboryci coś tam majstrowali przy swoim wozie. Mama spoglądała zazdrośnie przez uchylone drzwiczki chlewu na niemiecką świnię.

– Będzie miał ze sześćdziesiąt kilo – powiedziała.

– Przecież jej nie kupili – dolewałem oliwy.

Ni stąd, ni zowąd pokazał się na wysokim niebie samolot.

– Iwan!? – zapytał któryś z taborytów.

W tym momencie odezwała się obrona przeciwnicza okopana na pobliskim wzgórzu. Obłoczki jak pykanie z fajki wypryskiwały wokół maszyny. Nagle samolot przechylił się na bok i wyrzucił z siebie trzy podłużne kształty, kolejno – jeden po drugim.

„Rany boskie! Lecą na nas!” – krzyknęła mama. Wpadliśmy do murowanej obory. Niemcy za nami. Rąbnęło. O pięćset – sześćset metrów dalej. Jedna z bomb urwała róg szkoły, w której były niemieckie koszary. Następne dwie uderzyły w piętrowy dom. Śmierć poniosły dwie osoby cywilne ukrywające się w piwnicy – oczywiście dowiedzieliśmy się o tym później.

Tymczasem zobaczyłem strach w oczach „naszych” Niemców. Po tym małym nalocie szybko spakowali swoje manele. Mama patrzyła tylko – zabiorą świnię czy nie zabiorą. Zabrali i pojechali.

* * *

Zmęczony wracam z okopów. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyłem rozklejone plakaty z wizerunkiem marszałka Piłsudskiego. Znowu jakiś numer „Jędrusiów” – przeleciało mi po głowie. Pamiętam portret Dziadka – wisiał w szkole na ścianie. Pamiętałem jego pogrzeb i piosenki legionowe... Piłsudski to był dla mnie symbol patriotyzmu, odwagi i szlachetności – wynikało to chociażby z czytanki o małym, odważnym Ziuku, który nie bał się nocy w starym dworze. Nic dziwnego więc, że widok jego wąsów i krzaczastych brwi poruszył mnie do głębi. Niemcy wiedzieli co robią, a cel uświęcał środki. Tekst na plakacie wzywał Polaków do wstępowania w szeregi Wehrmachtu w imię wspólnej walki z zalewem bolszewickim.

Z naszego miasta poszedł tylko jeden, Stefan J., starszy ode mnie, półsierota bez matki. Został taborytą. Widziałem go, jak w starym, przydługim szynelu przewoził parę koni. Karabinu nie dostał. Po wojnie zapodział się gdzieś na Ziemiach Zachodnich.

* * *

To chyba brat Marian poszedł za mnie do okopów, a ja wypędziłem krowy. Musiało być późne lato, bo pasaliśmy je na nie zaoranych ścierniskach. Nasze pole znajdowało się pod Siesławicami, w bezpośredniej bliskości pojedynczej chałupy Forysiów. Gorące popołudnie, duchota i czarna chmura zapowiadały burzę. Gdzieś tam strunami już grzmiało, a dym z ogniska snuł się nad polami. Siedząc na ziemi obserwowaliśmy z Heńkiem Forysiem podejrzane ruchy grup żołnierskich na obrzeżach miasteczka. Obława – nie obława. Piechotą i na koniach. Ci na koniach jeździli wybornie. Znaliliśmy się na tym, skoro dla nas jazda „na stołka” czy na stojąco galopem nie były żadnym aj-waj! To nie byli Niemcy. Coś się kroilo. Ale co!? Siedzieliśmy spokojnie, bo byliśmy na zewnątrz tego pierścienia.

Chmura doszła i lunęło z siniego nieba, jakby kto z cebra lał. Tamci na swoich koniach pognali ku miastu – chyba deszcz pokrzyżował im szyki. A my daliśmy nura do chałupy Forysiów. Bydło spokojnie przeżuwał stając na ciepłym deszczu.

Forysiowa coś tam pichciła, bo pod blachą huczał ogień podsycany łamanymi gałązkami. Wyglądaliśmy przez zapotniałe szybki na zadeszczony świat. Nagle za oknem mignęła zielonkawa postać. Rany Boskie, Niemiec! Mimowolne skulenie się w sobie. Wszedł zadyszany, przemoknięty i ubabrany w błocie. Strąki mokrych blond włosów miał przyklejone do czoła, a strużki wody spływały mu po karku za kołnierz. Furażerkę zatknął wcześniej za naramiennik i tak pozostała, zamknięta teraz i oklapła. W rękę trzymał karabin, a przy pasie miał ładownice i zatknięte cztery granaty przeciwpiechotne. Zdyszany mówił szybko: „Ja ne german... Wy mienia poczymajetie... Ja ubieżał... Skażitie wy mene kuda partizany? Ja chaciu k nim. Ja budu rezaty germancew!”. „Panie, my biedne ludzie. My nic nie wiemy. Może dać mleka..”. „Ja, grażdanka, haworu prawdu! Skaż mene Boh!” Orientujemy się z nią, że własowiec i że dał drapaka od Niemców. Bije się w piersi. „Jej Bohu!” – przysięga, że on nie chciał, że go zmuszono. Zdecydowałem się. „Chodź pan – powiedziałem – pokażę”. Deszcz naciekał. Siesławice rysowały się wyraźnie, a za nimi wyłaniały się kontury lasów chroborskich. Forysiowa wetknęła mi do ręki przylepę chleba. „Daj mu” – powiedziała półgłosem. Dałem. Wziął. „Spasiba” – uśmiechnął się... „To tam w lesie, za wsią. A we wsi popytaj pan ludzi”. Począł pośpiesznie po chlupiącym błocie ku lasom, które krzywą linią kreśliły horyzont.

* * *

Najpierw zobaczyłem niemieckiego żołnierza w nader nieregularnym położeniu. Skąd się wziął? Włókł się poboczem drogi. Obrzeża wojskowej polówki opuścił na uszy, ryża szczecina niedopuszczalnie okalała twarz niemłodego już człowieka. Najbardziej jednak zaskoczyło mnie to, że żołnierz był bez butów. Nogi, chyba przemrożone, owinięte miał szmatami z jutowego worka i obwiązane sznurkami. Szurał tymi „bamboszami” po okropnym śniegu, a karabin ciągnął na pasie za sobą. Jakże mu było gance gal!

Tego ranka rozpoczęliśmy kopanie stanowisk do cekaemów przy drodze do Stopnicy. To, co stało się niebawem, zaskoczyło wszystkich – z pilnującym nas Szwabem włącznie. Nieprzerwany i bliski huk rozsadał głowę, przewiercał uszy na wylot, rodził śmiertelny strach. Gejzery ognia i pióropusze czarnej ziemi wyrywanej wybuchami robiły niesamowite wrażenie na tle śniegu. Dozorujący nas gefrajter zrozumiał pierwszy, że to ruszyła ofensywa. Zostawił nas swojemu losowi, uciekł pierwszy.

„Wiejemy!” – zdecydował Bolek Piotrowski. „Tylko rydla nie zgub” – dodał po gospodarstwu. Dzierżąc w garściach łopaty przemykaliśmy ulicami do bramy. To wtedy właśnie, podczas podobnej ucieczki, pocisk artyleryjski ugodził prosto w plecy Słabiaka (imienia nie pamiętam), rówieśnika. Jego szczątki zebrali potem z pola rodzice w prześcieradło. Odbił się pogrzeb.

W domu nie zastałem nikogo. W murowanej stajni także nie. Wiem – poszli do piwnicy u Sarneckich. W niewielkim pomieszczeniu znajdowało się dużo ludzi. Kobiety, mężczyźni, dzieci i niemowlęta. Pryzma ziemniaków w kacie, słomiany barłóg, poduszki, piernaty i łachy. Wlałem w to koczowisko i uczestniczyłem w milczącym oczekiwaniu.

Kanonada artyleryjska znacznie ucichła. Z rzadka odzywały się strzały armatnie przerywane seriami broni maszynowej. Nagle pchnął ktoś ostro drzwi piwniczne, aż poleciały na ścianę. W otworze stanął czarny esesman z nagim rewolwerem w ręku. Bacznie lustrował piwnicę.

– Polnische Schweine! – zawyrokował i trzasnął drzwiami. Po dłuższej chwili wpadło do piwnicy dwóch żołnierzy radzieckich.

– Germanew zdieś niet? – zapytał jeden zadyszany.

– Niet! Uszli na zapad – odpowiedział śmiało nasz ojciec, jako że za cara ukończył trzy zimy szkoły ruskiej.

Wyszliśmy hurmem z piwnicy, każdy do swojego domu. Rowami po obu stronach szosy przemykali zwiadowcy. Byli wśród nich chłopcy niewiele starsi ode mnie. Pokazały się czołgi, puły pełnym gazem na zachód. A zaraz potem waliło drogami całe wojsko – ciągniki z armatami, oddziały kawalerii, samochody ze sprzętem i ludźmi, bataliony piechoty, tabory konne, pododdziały z tresowanymi psami, a nawet po raz pierwszy widziane przeze mnie wielbłądy, objuczone skrzyniami i dobytkiem żołnierskim.

Nadchodził wieczór. W izbie tłoczyła się nasza siódemka, a wraz z nami wielu zmęczonych trudami wojny żołnierzy. Ojciec rozścielił grubą warstwę słomy na całej podłodze, na której spali kamiennym snem żołnierze – „na zakładkę”. Ze zdjętych butów, od nie pranych onuc, od spoconych ciał niósł się smród pomieszany z zapachem soldackiego ekwipunku. Mama „lekko” uchyliła połówkę zatkanego dyktą okna, „żeby się nie poprzeżębiali”. Przy tym oknie na stole paliła się lampa naftowa. Nad rozłożoną mapą ślęczeli trzej oficerowie. Patrzyłem urzeczony. O spaniu nie mogło być mowy. A kiedy mama goniła mnie do posłania – „spać, ty niespokojny duchu!” – udawałem, że nie słyszę. Około północy wpadł zmarznięty goniec. Zameldował. Oficerowie, zakładając kozuchy, budzili chrapiących żołnierzy. Wstawali bez słowa, przyzwyczajeni widać do takich sytuacji.

* * *

Po ośnieżonej polnej drodze wiozł furman zabitego żołnierza. W gnojnicach było trochę słomy, a wóz na żelaznych obręczach kołatał po grudzie. Dlaczego nie wziął sań? – pytałem w myślach, jakby to miało jakieś znaczenie. Żal mi było tego Niemca, który nie wiadomo po co zginął na podbuskich polach. Może był przekonany o słuszności sprawy, o którą walczył? Leżał teraz na spodniej desce wozu ze zwichrzoną blond czupryną, obojętny na świat, na idee... Zamarznięte na kość ciało było sztywne, a wystająca z tyłu – poza deskę – głowa podrygiwała śmiesznie na nie zginającej się szyi. Nie miał na sobie płaszcza, pasa, hełmu i butów. Dziwiłem się, że taki młody, przystojny chłopak nie wie, że idę obok.

* * *

Choć front poszedł na zachód, nie oznaczało to jednak końca wojny. Stefek przebrany – dla hecy – w esesmański czarny mundur i lśniące buty z cholewami harcował po wsi i bimbrem zakrapiał radość zwycięstwa. Pił on, pili kumotrowie, znajomi i żołnierze radzieccy, bo się akurat napatoczyli. Stefek

wyszedł z chałupy w mroźną noc. Był nabuzowany i „spuszczał wodę z kija”. „Stoj!” – krzyknął ktoś po rosyjsku. „Stoj! Strielat budu” – powtórzył głośniejsze. „A strelaj, ale sobie w dupę!” – odparował pewny siebie Stefek. Żołnierz wypuścił krótką serię i „Niemiec” osunął się na zaśnieżoną grudę i już się nie podniósł. Alarm wyjaśnił sytuację, ale życia Stefkowi nie przywrócił.

* * *

W lutym czterdziestego piątego – choć wojna jeszcze trwała – poszła po ludziach wieść o rychłym uruchomieniu gimnazjum.

„Spójrz na dom!” – powiedział ojciec, kiedy przedstawiłem mu swój zamiar udania się na egzamin wstępny. „Najpierw bierzemy się za dom. Na szkołę nie ma pieniędzy”. Spisek uknułem z mamą, która rozumiała nas bez słów. W jej filcowych butach i ojcowej kurcie poszedłem na ten egzamin, który... zdałem. Pamiętam łzy rozczulenia i błysk dumy w ojcowskim spojrzeniu, kiedy powiedziałem mu o tym fakcie. „No to idź – powiedział – skoro tak bardzo chcesz”. Pocałował mnie w czoło, co było u taty objawem ogromnej pieśczoły.

Korytarze gimnazjalne zatłoczone były bracją z całego powiatu. Niejeden pod wąsem „stary” partyzant wylazł z lasu lub meliny. „Tygrysy”, „Mściciele”, „Orły”, „Orliki”, „Koty”, „Mikrusy”, „Stale”, „Kamienie”, „Sokoły”, „Skiby”, „Czekały”, „Durbiny”, „Kraki”, „Trybiki”, „Kruki”, „Sępy”, „Wilki”... Pocili się w kozuchach, w oficerkach, w kamaszach na wojskowych gwoździach, stukających drewniakach. No, były też ubiory przyzwoite, wszak nie każdy wyszedł z wojny nędzarzem, a ten i ów przechował nawet mundurek gimnazjalny sprzed wojny.

Józef Lisak „Rajtara”, przedwojenny wykładowca historii i niedawny przywódca ZWZ – AK, został dyrektorem gimnazjum i liceum i ujął mocno w garść rozrzucone towarzystwo. Nie na długo, bo za jakiś czas musiał zniknąć. Janina Czarnecka „Sosna”, do niedawna związana z wywiadem AK, wykładała historię i język polski i serdecznie pragnęła, by nasze zaniedbane i opóźnione wojną lby chłonęły jak najwięcej. A kiedy brakowało jej sił opuszczała bezradnie ręce i zwykła wypowiadać krótkie zdanie: „Ach, wy humaniory!” Na drugi dzień uśmiechała się znowu.

Póki co należało zatkać czymś powybijane okna. Nie było krzeseł ani stolików, nie było opału. Dyrektor „Rajtara” podyktował warunki: każdy przyniesie sobie krzesło, a każdych dwóch „skombinuje” stolik. A cóż to była za pstrokaczna kolorów i stylów! Nasza wychowawczyni, pani Maria Borkowska, okutana w wyleniałe futerko, życzyła sobie, aby w klasie było ciepłej. Znosiliśmy więc w parcianych torbach, w wojskowych chlebakach – a to kawałek z płota, a to zdobyczny kawałek węgla, a to jakieś polanko. Składało się to na stosik pod piecem i dyżurny zabierał się do roboty.

Na boisku szkolnym były cztery potężne bunkry i łączące je zygzakami rowy strzeleckie. Znowu mobilizacja „Rajtara” – do rozbiórki i zasypywania. Łopatę trzeba było mieć swoją. Kilof nie był potrzebny, bo przedpiersia były jeszcze miękkie. A jednak gdzieś tam w podświadomości żal mi było zmarnowanej roboty. Pięć miesięcy rycia w błocie i słocie, a teraz – zasypuj! Na naszym polu też mieliśmy jeden bunkier i zygzak rowów – pracowaliśmy całą rodziną. Co prawda sosnowe kłocce bardzo przydały się w gospodarstwie, ale...

Byłem harcerzem. Na amarantowym tle sztandaru pysznił się srebrny orzeł w złocistej koronie – symbol romantycznych przekonań wyniesionych z domu i tęsknot. Wizualny ten obraz nie przeszkadzał jednak, by – idąc czwórkami na obowiązkowe nabożeństwo kościelne – śpiewać zarówno: „choć z dała swą mamę rodzinę i bliskich, my polscy żołnierze od Gór Świętokrzyskich”, jak i „Oka”. Z czasem następowała polaryzacja tych szczenięcych przekonań i wychodziło się na tym albo gorzej, albo lepiej. Ja wyszedłem gorzej, ale to już temat na inne opowiadanie.

9 maja 1945 roku. Było przedpołudnie. Piękny, podświetlony seledynem dzień. Nagle serie z pepesz przeszły powietrze. Na wiwat! – jak się okazało. Koniec wojny! Wieczorem zabawa! A potem zabawy i potańcówki bez końca. Byle harmoszka, byle bęben! Oprócz piątek. Gotyckie ślady liter po „Deutsche Haus” drżały ze strachu od przytupywania w parkiet, który do niedawna był „Nur für Deutsche”.